Mam już tego dość! Dyskusje, wiecznie dyskusje, nigdy nie kończące się dyskusje... Jako pilot-astronauta przywykłem do błyskawicznego podejmowania decyzji, nawet ryzykownych. Wielosłowie, jakie opanowało nasz statek, jest dla mnie wręcz nie do zniesienia.

To prawda, że zetknęliśmy się z fenomenem, jakiego nie odnotowali dotychczas pamięć ludzka. Prawdą jest także, że przeżyliśmy coś, czego nie doświadczyła żadna wypra wa kosmiczna od chwili rozpoczęcia przez ludzi lotówo poza Ziemię. A jednak ustawicze roztrząsanie faktów w naszej sytuacji prowadzi donikąd. Przede wszystkim dlatego, że rozpo częliśmy już lot powrotny, a właściwie – mówiąc szczero – pozwolono nam odecieć tam, skąd przybyliśmy. Tymczasem cała załoga zajmuje się wyłącznie tym, co nas spotkało. Termin powrotu ważny jest dla nich jedynie jako ostateczny moment, do którego trzeba uzgodnić wspólne stanowisko i zaproponować Admiralicji jakieś konkretnie rozwiązanie. Prowadzenie statku zdano wyłącznie na mnie. Mam więc zupełną swobodę i wystarczająco dużo czasu...

Niezwykły był już początek tej przygody, chociaż wtedy nie przypuszczałem nawet, co nas spotka. Zbliżaliśmy się do nieznanego układu planetarnego. Wstępne badania przeprowadzone z dużej odległości sugerowały możliwość istnienia na jednej z planet życia, i to w stadium rozwiniętej cywilizacji naukowo-technicznej. Szczegółowa analiza promieniowania dokonana już podczas przełotu przez układ potwierdziła te przypuszczenia. Załogę ogarnęło wtedy niezwykłe ożywienie. Gdy znaleźliśmy się w odległości równej mniej więcej promieniowi orbity jedynego księżyca okrążającego tę planetę, aparatura zarejestrowała efekt podobny do odbicia fal radaru o nasz statek. Od tej chwili wiedzieliśmy, że wykryto naszą obecność i że odtąd będziemy stale obserwowani. Wtedy był to dla nas powód do radości, gdyż obecność urządzeń radiokowych świadczyła o zaawansowanym poziomie technicznym cywilizacji, z którą chcielibyśmy nawiązać kontakt. Zgodnie z instrukcją uruchomiliśmy natychmiast radajnik programu kontaktowego i kontynuowaliśmy lot starając się najdrobniejszym nawet manewrem nie wzbudzić Ich podejrzeń, co do naszych intencji. Leczylibyśmy wprost do celu.


Po kilkunastu minutach lotu wyszliśmy
z śledzącej wązki radaru. Niektórzy z nas skłonni byli przypisać to zaufaniu mieszkańcówe
planety do naszych możliwości technicz
nych i naszych zamiarów, ale jak się wkrótce
okażalo, właściwym powodem było roztocze
nie nad nami o wiele bardziej troskliwej opie
ki. Po raz pierwszy przekonalismy się o jej
istnieniu, gdy przełatujący w pobliżu meteor
w sposób absolutnie niezgodny z mechaniką
lotu, a więc i z prawami fizyki, zmienił raptopli
nie kierunek. Wyglądało to tak, jak gdyby
zeszliżny się po niewidocznej, niemniej jednak
istniejącej przeszkodzie.

Wlot w atmosferę planety spowodował ko
mpletny chaos w procedurach automatycznego
ładowania. Teraz mogę myśleć o tym zupełnie
spokojnie, ale wtedy... Bez wahania wyłączyl
łem układ automatyczny i przeszedłem na
ładowanie kierowane bezpośrednio. Tego, co
ścia się z rakią, nie mogłem zrozumieć.
Nikt z załogi nie mógł mi pomóc. Nie było
zreszta na to czasu. Ładowanie pozbawione
było zwykłych, towarzyszących temu manew
rów efektów. Nie było tarcia o coraz gęstsze
przecie warstwy atmosfery. Czuńniki tempe
ratury powłoki statku wykazywały nadal tempe
raturę przestrzeni kosmicznej. Leciśliśmy jakby jakimś korytarzem, wytyczonym w nie
zrozumiały dla nas sposób, z którego usunięto
powietrze. Co dziennej, korytarz ten miał
zdolność kierowania naszym statkiem nieza
lenie od pracy silników. W tej sytuacji wyłą
czyłem nie tylko silniki hamujące, ale i układ
sterujący.

Nie rozumiąc nic z tego, co się działo,
bliski już byłem podjęcia decyzji uruchomie
nia silnika głównego i próbę ucieczki na orbitę
planetarną. Nakazały to rozsądek i do
świadzenie pilota. Wyjście na orbitę dala by
nam wszystkim czas do namysłu, pozwoilo
by kontrolować urządzenia statku i usunąć
eventualne uszkodzenia, a także podjąć naj
ważniejszą decyzję. Rakieta opadająca ku po
wierzchni nieznanej planety, ale niezgodna do
samodzielnych manewrów, skazana jest prze
cież na zagładę...

Ale coś irracjonalnego, coś, co przeważyło
moją wiedzę teoretyczną i moje doświadczenie
pilota, kazało mi wyłączyć silniki i pozostawić
statek na lasce nieznanych sił. Nie wiem do
dzisiaj, co mogłoby się stać, gdybym dał pełny
ciąg i usiłował wyrwać się z korytarza z powro
tem w otwartą przestrzeń. Wtedy nie miałem
czasu na teoretyczne rozważania, teraz moją
udzia zaprzestało coś zupełnie innego. Czuńniki
obserwowali wskazania przyrządów, które
mówiały, że lądowanie powinno być bezpiecz
ne, mimo braku współdziałania z naszej stro
ny. To nie my lądowaliśmy, lecz Oni nas
sprowadzali na powierzchnię swojej planety.
Prędkość lotu zmalała do przewidzianej przez
procedurę lądowania w normalnych okolicz
noścach. Nie było niebezpiecznych drgań ka
dłuba, ani najmniejszych nawet przechylów
bocznych. Przez kilkadziesiąt sekund poru
szaliśmy się prawie poziomo, aż znaleźliśmy
się nad miejscem przeznaczonym na nasze
ładowisko.

Wszystko odbywało się tak łagodnie, że
mogę teraz powiedzieć, iż było to najbardziej
precyzyjne i bezpieczne lądowanie w całej
mojej karierze astronomicznej, chociaż ody
ło się bez mojego udziału. Lądowaliśmy w
miejscu, które przypominało zupełnie nasze
kosmodromy: bezkresną zieloną płaszczyznę przecińały biegnące w różne strony szare pasy
drogi łączące z rzadka rozsiane place o regu
lnych kształtach stanowiska startu i lądowa
nia. Wokół niektórych z nich wznosiły się
różnej wielkości i odmiennej konstrukcji urzą
dzenia techniczne. Prostymi, wielokilometrowymi liniami biegły estakady, gdzie niesłusznie
widniały wyloty tuneliów, a w oddali mającły
çylindryczne, lekkie, mimo swego ogromu,
budowle pięte azurowymi, zawsze w pię
wietrzu mostami.

Zetknienia statku z powierzchnią planety
nawet nie poczuliśmy. Jak się później okaza
ło, była to zasługa nie tylko Ich precyzyjnej te
chniki lądowania. Radosć z odkrycia obcej cywi
lizacji mieszala się z niepokojem o nasze losy.
Wszystko, co robiśmy i o czym myśleliśmy
przedtem, w zupełnie nowej perspektywie stawała nasza całkowita bezradność. Doskonał
ość Ich techniki wzbudzała podziw i szacun
ek, brak bezpośredniej reakcji na nasze przy
bycie, czy choćby tylko odpowiedzi na nasze
bez przerwy transmitowane sygnały kontaktow

47
we – podsycał niepokój. Kimkolwiek byli mieszkańcy tej planety, musieli odebrać nasze sygnały, które niosły podstawowe informacje o nas, naszej wyprawie, Ziemi, i nawet jeżeli nie potrafili ich rozsyfrować i zrozumieć, w co przy obserwowanym poziomie techniki należało raczej wątpić, powinni potwierdzić ich odbiór w jakolwiek sposób. Tymczasem nasi odbiorniki milczały, a milczenie to było tak doskonałe, że w najbardziej pustym zakątku Kosmosu, jaki zdarzyło mi się odwiedzić, nie spotkałem się z czymś podobnym.

Tkwiłiśmy więc tak, bezczynnii, czas jakiś i zastanawialiśmy się, co robić. Gdy w Ich postępowaniu wobec nas nie nastąpiły żadne zmiany, to znaczy nadal brak było bezpośrednich przejawów zainteresowania się nami, postanowiliśmy spenetrować najbliższe otoczenie miejsca naszego przymusowego lądowania. I wtedy przeżyliśmy kolejne zaskoczenie. Początkowo planetolodzy przypuszczał, że analizator chemiczny zepsuł się i przekazuje niepewne dane, ponieważ informował, że na zewnątrz statku panuje absolutna, kosmiczna próżnia. Ktoż mógł w to uwierzyć, skoro wzrok przekonywał nas o istnieniu w odległości kilku kilometrów budowli i urządzeń wzniesionych przez istoty niewątpliwie podobne do człowieka. Widzieliśmy rośliny, które bez atmosfery nie mogły przecież wyrosnąć. O istnieniu gazowej otoczki planety świadczyło także rozproszenie światła. Horyzont nie pokrywał się tu z zasiegiem wzoru ograniczonym jedynie krzywizną powierzchni i nie przechodził ostro w czerń przestrzeni międzyplanetarnej, jak było to na księżycach planet i innych obiektach zbyt małych, by mogły utrzymać własną atmosferę. Obserwowaliśmy ponad wszystko, dobrze znane zjawiska atmosferyczne.

Biolog i Chemik, którzy pierwsi udali się na rekonesans, ubrali się jednak w skafandry i gdy opuścili służy statku, wszyscy przekonali się, że analizator chemiczny nie klamał. Statyk, tkwiąc na powierzchni planety, równocześnie znajdował się nadal w kosmicznej próżni. Nie wykryto najmniejszych choćby ilości gazów. Ale to nie był koniec niespodzianek związanych z tym paradoksem. Zaledwie nasi wysłannicy zjechali burtową windą do podnoża rakiety, przeżyli kolejny szok. (Dziewięć się teraz, po kilku dniach względnie normalnego życia, jak wiele zdolny jest znieść człowiek zachowując przy tym rozsadek i zdolność działania...). A więc, gdy zeszli z platformy windy, stanęli nie na twardzej powierzchni obcej planety, lecz na niewidocznej, zaledwie wyczuwalnej, przeoczystej taflą. Zieleń trawy była niewyraźna, dobrze widoczna, gdziennie leżała na powierzchni, zupełnie jak na Ziemi, a przecież niedostępna.

Stuchając ich wzburzonych głosów, rwące się co chwila relacji, gorączkowych okrzyków wyrażających bezgraniczne zdumienie, oglądaliśmy na ekranach ten niesamowity widok: nasi towarzysze unosili się nad powierzchnią lądowiska, a przecież coś stawiało opór ich butom, pozwalało stąpać coraz pewniej. Zarazem z nimi dziesięcioma zaskoczenie, zdumienie, wreszcie lęk przed nieznanym, który pochwycił nas w swoją władzę.

Szczególnie widok stopniódkieszczetnometrowej rakiety utrzymywanej przez niepojętą siłę kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią przypominał o dreszcz niewypowiedzianej emocji. W podobnej sytuacji znajduje się rakieta w ułamek sekundy po uruchomieniu silników, ale stan ten poprzedza właściwy impuls startowy, a silniki naszego statku milczały. Jak zauważył Informatyk, byliśmy bez reszty zdani na laskę bądź nienasze tych, którzy ową siłą dysponowali, a równocześnie i kto wie, czy nie było to najgorsze – nie rozumeliśmy nic z tego, co się wokół nas działo.

Tymczasem Biolog i Chemik rozpoczęli wędrówkę po najbliższym otoczeniu rakiety, śledzili bez przerwy przez zainstalowaną we własnej kamerze.

– Ściana?!... do intonacji znamionującej bezgraniczne zdumienie zdążyliśmy się już przyzwyczaić, toteż okryk Chemika przyjąłmy jako informację o kolejnej niezwykłości. Jak oniemialiśmy patrzyliśmy na ekran, na którym widać było zmagania naszego towarzysza z niewidzialną, tym razem pionową przeszkodą, w odległości kilkudziesięciu zaledwie metrów od rakiety. Napierał na nią cały cialem,
a kiedy wysielen ten nie przyniósł rezultatu, Chemik cofnął się, nabrał rozpuści i uderzył w przeszkodę.

– Uważaj na skafander! – Okrzyk Lekarza zbiegł się z początkiem relacji podawanej nieco zdyszonym glosem:

– „To” ustępuje wprawdzie nieco przy odpowiadaniu silnym nacisku, ale szybko powraca na poprzednie miejsce bez względu na moje wysiłki. Zapora jest więc elastyczna, choć w minimalnym stopniu. Jej funkcjonowanie sprawia wrażenie, jakby w tym wszystkim bardziej chodziło o bezpieczeństwo intruza, niż o nienaruszalność granicy…

W tym czasie Biolog obsłudził nasz statek dookoła i kiedy znowu znalazł się przy współtowarzyszu, powiedział:

– „To” otacza nas szczelnym pierścieniem w promieniu około osiemdziesięciu metrów. Nie rozumiem zupełnie, na jakiej zasadzie „to” działa, ale chyba znaleźliśmy się w pułapce.

Narada zwołana po powrocie świadectw zakończyła się podjęciem decyzji rozpoczęcia badań planety przy pomocy wszystkich dających się zastosować w tej nietypowej sytuacji środków. Zasadniczym zadaniem było jednak nawiązanie kontaktu z obcą cywilizacją. Rozpoczęto uruchamianie aparatury naukowej, a specjalny zespół zajął się przygotowaniem raportu dla Ziemi, który miał być wysłany natychmiast. Nie mogliśmy wprawdzie liczyć na pomoc – zbyt wielka odległość dzieliła nas od najbliższej bazy, ale wiadomość o naszej sytuacji, bez względu na nasz los, mogła oka-


Prowadzona bezustannie od chwili wylądowania obserwacja nie przyniosła rezultatów, które pozwoliłyby chociażby częściowo zrozumieć naszą sytuację. A co dopiero mówić o cywilizacji, która postępowała z nami w tak nieoczekiwany sposób. Dopiero po kilku godzinach od chwili lądowania, gdy niebo zaczęło zmieniać kolory i cieniować zwichrząc obojętnie nocne niebo (nie znaliśmy jeszcze wtedy parametrów orbity planety i danych o jej ruchu obrotowym) przeleciały nad nami dwa bezskrydłe pojazdy, ale na tak znaczącej wysokości, że najlepsze teleobiektywy nie były w stanie przybliżyć nam szczegółów ich konstrukcji. Jeszcze później latający obiekt podobny do tych, które obserwowaliśmy poprzednio, zawisł nad nami na wysokości trzech tysięcy metrów i pozostał tam przez cały czas pobytu na planecie. Muszę przyznać, że czuśmy się trochę nieswojo z takim stałym „opiekunem” nad sobą. Najbardziej energiczni i niecierpliwi z nas proponowali nawet użycie pokładowych środków obrony dla unieszkodziwienia go, ale zaciętżewienie trwało krótko i musiało ustąpić trzeźwej ocenie sytuacji. A z oceny tej
wynikało, że niszczycielska moc naszych urządzeń atomowych jest niczym wobec wypróbowanej przez Nich na nas ich techniki i że z góry skazani jesteśmy na przegranią.

Tymczasem Fizykowi udało się ustalić kształt pęcherza próżni, w jakim nas uwieńczono. Otaçzał on rakietę kroplowym kształtem, który w najszerszym miejscu, nieco ponad podstawą miał prawie dwieście metrów średnicy i zbiegał się stożkowo siedemdziesiąt metrów ponad sterczącym teraz bezradnie w niebo dziobem rakiety. Fizycznej natury przeobrażającej nas od Ich świata nadal nie udawało się określić, wiadomo było tylko, że jest to, w niewiadomy dla nas sposób uformowane pole promieniowania. Wyniki pomiarów wszystkich odmian szkodliwego dla organizmu promieniowania były jednak uspokajające. Pod tym przynajmniej względem był to jeden z najbezpieczniejszych zakątków Kosmosu.


Na zewnątrz nic się nie działo. Nocny krajobraz trwał w bezruchu i w absolutnej ciemności. W stronie, gdzie za dnia widzieliśmy coś, co układem przypominało nasze ziemskie miasta, także panowała ciemność. Tylko na zachodzie niebo było niczo jaśniejsze.

Informatyk zaparzył herbatę i tak, popijając gorzkawy płyn, tkwiśliśmy przed ekranami, na których uparci się nie chciało się działać. Po godzinie zjawił się Fizyk, a po nim kolejno inni członkowie załogi, bez względu na kolejność przypadających dyżurów. Widocznie gdy tylko sen zlikwidował skutki zmęczenia, powracało napięcie spowodowane niezwykłością sytuacji, wywozając uwagę i zmuszając do aktywności. Kto z racji swej specjalności pozbawiony był w tej chwili zajęcia wynajdował jakieś inne, zastępcze.

Pierwszą sensację tego dnia zakomunikował nam Fizyk. Po wywołaniu filmów z wynikami obserwacji zauważył niezwykle efekt towarzy-

— Jacy podobni do nas...


Kiedy znaleźliśmy się znowu wszyscy razem, pojazdy zatrzymały się i po kilku minutach, przyspieszając raptownie, oddaliły się w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyły. I znowu dokonał zapanował beczur i martwota. Obserwator zanotował jedynie przelot trzech maszyn, ale w tak dużej od nas odległości, że nie mieliśmy prawa wiazać ich pojawienia się z naszą obecnością. Były to przypuszczać tutejsze regularne loty komunikacyjne.

Wtedy to właśnie Historyk, po gwałtownej dyskusji, w której spotkało się więcej propozycji, niż było członków załogi, sformułował pierwszą hipotezę usiłującą wytłumaczyć obserwowany stan rzeczy.

Historia ziemskiej cywilizacji dostarcza bardzo wiele przykładów społeczeństw zamkniętych, izolujących się przed wpływami z zewnątrz, uznających własną organizację i własną ideologię za jedynie słuszne. W takich wypadkach zawsze dochodziło w przeszłości do utożsamienia odmienności kulturowej z wrogością, bądź tak lub inaczej pojmowana — niższością. Napotkana przed nas obcoplane- tarna cywilizacja postępowała widać w kontaktach z obcymi podobnie, jak tamte społeczności ziemskie. To znaczy usiłowała nie dopuścić do bliszczego porozumienia własnych członków z przybyszami, udaremniając wszelkie przepływy informacji, a w realizacji swych celów mogła nie przebiegać w środkach. Powinniśmy się więc mieć na baczności. Wniosek z tej psychologicznej diagnozy był taki: zmniejszyć ryzyko wiązające się z dłuższym pobytom na planecie i jak najszybciej wystartować. Tym bardziej należało unikać wszelkich radykalnych środków nawiązania kontaktu, gdyż mogłyby one zostać potraktowane jako zamach na niezawodność tej cywilizacji, jako mieszanie się do jej wewnętrznych interesów.

Na taką ocenę sytuacji najszybciej zareago- wał Socjolog. Zarzucał on Historykowi, że jako reprezentant nauki z natury rzeczy zajmującej się faktami jednostkowymi popełnia błąd prze- nosząc doświadczenia ziemskiej cywilizacji na inne cywilizacje kosmiczne. Błąd ten polegał na tym, że autor hipotezy „światowej izolacji” zakłada milczenie, iż rozwój tej wówczas obcoplane- taryjnej cywilizacji szedł taką samą drogą, jaką przebywała Ziemia, że stworzył on i przezwycię- żał formy ustrojowe te same, które powstały na naszej planecie. Jest to niedopuszczalne upro- szczenie. Przedziej już wyżłobienia sytuacji, w jaką zostaliśmy wciągnięci, szukać należy w podobnej do naszej konstytucji psychofizycznej istot zamieszkałych planet. W każdej dziedzinie życia to, co nowe, zawsze powoli i z trudnością toruje sobie drogę do powszech- nej świadomości. Tak było zawsze na Ziemi. Być może jest to prawo uniwersalne. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że cywilizacja, jakam naotkaliśmy na swojej drodze, dysponując odpowiednimi środkami technicznymi, zabez- pieczyła się przed żywiołowym kontaktem z „nowym”. Być może jest to środek tymczasowy i dłuższe obserwowanie nas doprowadzi ich do wniosku, że bezpośredni kontakt nie stanowi żadnego zagrożenia, że przeciwnie,

Socjolog był zdania – a była to najbardziej przekonująca część jego hipotezy – że specjalne służby działające z polecenia najwyższych władz ściągnęły nasz statek w miejsce najbardziej odpowiednie dla nich. Wskazuje na to pustka wokół lądowiska, jeżeli nie liczyć związków i stałego strażnika czy obserwatora zawieszonego nad nami. W przeciwnym razie, bez względu na stosunek zarówno władz, jak i zwykłych obywateli do przybyszów z Kosmosu, pojawiłyby się tu niechybnie ciekawscy, zwykle gapie, jacy towarzyszą wszystkim choć trochę niecodziennym wydarzeniom, lub choćby przypadkowi przechodnie czy podróznicy. Doskonalość izolacji świadczy o tym, że przechodzimy okres intensywnej obserwacji. Jej wynik zadecyduje o podjęciu z nami rozmów lub ...

Nie chciał sprecyzować drugiej możliwości zasłaniając się nieznajomością realiów tej planety, ale już dyskutanci, przekrykując się nawzajem, kończyli na różne sposoby ostatnie zdanie Socjologa. Ten zdążył tylko jeszcze w momencie względnego spokoju powiedzieć, że wierzy w to, iż przetrwać i osiągnąć wysokie stopień rozwoju może jedynie cywilizacja z gruntu dobra, a nie, jak to starał się udowodnić Historyk, totalitarna. Proponował ostatecznie narzuconą przez nich izolację traktować wyłącznie jako przejaw troski o dobro własnego społeczeństwa i społecznie czekać na pierwszy krok z ich strony.

Na dyskusjach, tych oficjalnych, które miały wypracować dalszy program działania, i prywatnych, toczących się to tu, to tam, minął nam cały dzień. W okolicy panował niczym nie zakłócony spokój. Unieruchomieni, zdezorientowani, przygotowywaliśmy się do spędzenia drugiej już nocy na powierzchni planety.

Podczas mojego dyżuru do kabiny nawigacyjnej zabrał Komandor. Jak się okazało, powodem nie była bezsenność.

– Czy w chwili obecnej istnieje możliwość startu i bezpiecznego wejścia na orbitę?


Rozważaliśmy szanse. Można było oczywiście włączyć silniki – za ich sprawność jeszcze odpowiadaliem. Za to, co mogło nastąpić potem, już nie. Zależało to od odzaczającego nas pola siłowego. Roztrząsając to doszedłem do ciekawego przesilenia teoretycznego. Gdyby startującej rakietie nie udało się przebić odzaczającej nas zapory, gazy tryskające z dysz silnika, rozgrzane do olbrzymiej temperatury, w ulamku sekundy wypełniłyby niewielką obiektność próżni, w którą Oni zapakowali naszą rakietę. Wzrost ciśnienia w następnych ulamkach sekundy spowodowałby dalszy wzrost temperatury i tak dalej… Jak długo wytrzymałyby to piekło konstrukcja rakiety? Czy wystarczałoby długo, by dać mi, jako pilotowi, czas na odpowiednią reakcję, na wyłączenie silników? A co stanie się w przeciwnym razie? Czy nad planetą zjawią się na kilkanaście sekund drugie słońce, tym razem atomowe, gdy ciśnienie i temperatura zniszczą osłony reaktora?

(Dokończenie w następnym numerze)
Świt przyniósł kolejne zaskoczenie. Jeszcze nie zrobiło się zupełnie jasno, gdy od strony „miasta” nadleciały trzy wielkie poduszkowce, z których wysypało się kilkuset mieszkańców planety. Byli w różnym wieku, niekiedy samotni, niekiedy tworzyli grupy, które, odwołując się do ziemskich wzorów, można było nazwać rodzinami. Podzielili na kilkudziesięcioosobowe zespoły prowadzone przez przewodników w wyróżniających się uniformach, krężyli wokół statku tuż za granicą pola siwowego. Przystawali, celowali w nas jakimiś aparatami; prawdopodobnie utrwaliły widok niezwykłego przybyzsa z Kosmosu.

Potem pojawiło się jeszcze kilka poduszkowców. W pobliżu rakiety zrobiło się tłoczno. Zaszkorkowani niezwykłością sytuacji, tym nagłym zalaudnieniem pustego dotąd miejsca, które podważa wszystkie dotychczasowe interpretacje, nie wiedzieliśmy początkowo, jak zareagować. Czy wyjść ze statku i usiłować porozumieć się bezpośrednio, przed wszystkim jednak po to, by pokazać im, jak wygląda my i że jesteśmy do nich podobni, czy też nadal próbować nawiązać łączność przy pomocy środków technicznych. Ponieważ jednak wszystkie dotychczasowe próby nawiązania łączności zawiodły i jedyną odpowiedzią na nasz program kontaktowy była cisza, wszyscy skłaniają się do podjęcia ryzyka kontaktu bezpośredniego. Może podświadomość większości z nas przypuszczała, że wzajemne podobieństwo wywrze w końcu pożądany skutek.

Jednak w otaczającym naszą rakietę pęcherzu próżni mogliśmy się poruszać jedynie w deformujących nasz wygląd skafandrach. Po analizie zapaśów powietrza i sprawności układu regeneracyjnego Komandor nakazał wypelnić próżnię powietrzem z zapasów rakiety. Trwało to zaledwie kilka minut. Ponieważ ciśnienie od razu ustaliło się na potrzebnym poziomie i nie zanotowano ucieczki powietrza na zewnątrz, wkrótce część załogi ubrana jedynie w pokładowe uniformala stanęła naprzeciw nich.

Przez chwilę tym, którzy pozostali na statku i mogli obserwować sytuację z pewnego dystansu, wydawało się, że wyjście ludzi z rakiety wywołało pewne poruszenie wśród „turyściów”. Ale było to widocznie bardziej nasze zyczenie, niż rozpoznanie stanu rzeczywistego, gdyż zachowanie tubylców nie zmieniło się ani na joję. Na widok zbliżających się do pola siwowego astronautów może tylko częścię niż przedtem podnosili swoje aparaty. Niektórzy wyknali gesty, które przy najlepszych chęciach z naszej strony mogły być uznane za coś w rodzaju pozdrowienia. Jeżeli kotokółwiek marzył o wywołaniu sensacji, radykalnej zmiany sytuacji czy choćby tylko żywjej reakcji – srodze się zawiódł.

Tymczasem „wycieczka” przybywało. W sąsiedztwie lądowały śmigłowe aparaty przywożąc kilkuset nowych mieszkańców planety. Sytuacja stawała się dla nas nie do znieczenia.
- Gdyby nie ta przerażająca obojętność na naszą obecność – Lekarz kiwał bezradnie głową – można byloby pomyśleć, że odizolowanie nas od tubylców, czy jak kto woli Ich od nas, spowodowane jest wyłącznie względami medycznymi, że jest to rodzaj kwantanniny. Taka chęć zapobieżenia zakłóceniu równowagi biologicznej planety i przeniesieniu ewentualnych chorób byłaby najzupelniej zrozumiała. Przecież i my stosujemy podobne środki, i to wobec własnych założ powracających na Ziemię z dalzych wypraw, a szczególnie z innych planet.

- To już trzecia hipoteza, doktorze – wtrącił ktoś – ale zdaje się, że również bezużyteczna dla zrozumienia sytuacji, w jakiej tkwimy, jak poprzednio.

- Zastanawia mnie przede wszystkim pośród tej obojętności – kontynuował Lekarz. – Przecież my, nawet gdy zwiedzamy parki osobliwości, rezerwaty czy muzea, zachowujemy się inaczej, reagujemy żywiej. Cóż dopiero działabym się na Ziemi, gdyby nieoczekiwane wylądowała na niej wyprawa reprezentująca cywilizację odległą od Słońca o kilkadziesiąt lat świetlnych… Wykluczając tezę, że są to pozbawione programu emocjonalnego cybernetyczne humanoidy, boję się wprost myśleć o tym, jak surowy trening woli i uczuć musieli być przejść ludzie zdolni do takiego zachowania...


Wtedy właśnie ze swojej pracowni wyszedł nie wiedzący jeszcze o tym, co się stało, Informatyk. Rozgorączkowany machał notatkami, które, jak się okazało, zawierały rezultaty obliczeń, dla których przez kilkanaście godzin angażował prawie całą moc pokładowego komputera i wszystkie segmenty pamięci zewnętrznej, które składały się na swego rodzaju podręczną bibliotekę wyprawy. Jego odkrycie zelektryzowało wszystkich. Rezultat obliczeń nie tłumaczył naszej sytuacji, określił jedynie warunki, w jakich mógłby się ona stać zrozumiała. Wszyscy zjawił się, by go wysłuchać.

- Dotychczas domagano się od komputera odpowiedzi natury technicznej, fizycznej, bądź wręcz emocjonalnej, a takich odpowiedzi udzielić on nie mógł bądź to z powodu niedostatecznych danych, bądź też z tej racji, że nie leży ona w kompetencji maszyn matematycznych. Ponieważ nie mamy szans, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości, na uzyskanie potrzebnych informacji, sformułowaliśmy pytanie o charakterze nieokretnym, rzeczowym, lecz metodologicznym. Pytałem więc nie o to, jaka jest cywilizacja, którą napotkaliśmy na swej drodze, ani jaki charakter ma otaczające nas pole siłowe, lecz wyłącznie o ilość informacji potrzebną do opisania niewiadomych, które na nas interesują. Otoż na podstawie porównania z sytuacjami, jakich rozwiązania są nam dobrze znane, komputer obliczył, że stworzenie czegoś takiego jak to, co wiemy nas na planecie, potrzebny jest zasób informacji o materii, grawitacji i przemianach energii o kilka rzędów większy od tego, jakim dysponuje dziś nasza cywilizacja. Jest to może smutna prawda, ale prawda. I jedynie obiektywna informacja o napotkanej przez nas cywilizacji. Wszystko inne to drobiazgi, bez znaczenia w tej chwili...

Odczekał chwilę, aż ucichnie szmer.

- W tej sytuacji brak zainteresowania nami z Ich strony jest dla mnie zupełnie zrozumiały. Niechętnie przebywamy przecież z ludźmi, którzy mają nam do zaofierowania wyłącznie prawdy banalne, aż za dobrze znane… Nasze dwie cywilizacje dzieli tak wielka przepaść informacyjna, na naszą oczywście niekorzysty, że postanowili w ogóle nie zawracać sobie nami głowy. Nie możemy im powiedzieć nic ciekawego, absolutnie nic, gdyż reprezentujemy poziom, który oni osiągnęli wiele wieków temu.

- A dzisiejsze wizyty? – pytania Biologa zaskoczyło Informatyka, który przecież przez wiele godzin nie wyjrzał z pomieszczeń ośrodka obliczeniowego.

Ktoś inny wtracił:
- Rozumowanie to jest nawet przekonujące i ma realne uzasadnienie, czego brakowało wszystkim dotychczasowym hipotezom. Ale po co w takim razie ściągali nas na powierzchnię swojej planety? Tyle trudu w stosunku do czegoś, co nie ma najmniejszego znaczenia? Przecież mogli nie dopuścić do lądowania w bardziej radykalny sposób, oszczędzając sobie kłopotu. Kiedy ktoś ma do dyspozycji takie środki techniczne...

- Kto wie, czy nie w charakterze obiektu muzealnego, na życzenie ich historyków. Może to właśnie oni podziwiali nas dzisiaj, wraz z rodzinami, żeby było wesele. To przecież nie lada gratka, gdy nieoczekiwanie pojawi się żywy obraz stadium rozwoju ich cywilizacji przed wieków czy nawet tysiąceleci. Wyobrażacie sobie naszych historyków, którym dano by szanse kontaktu z reprezentantami, na przykład, armii Aleksandra Wielkiego!

Ten ostatni pomysł rozpadł w śmiechu napięcie towarzyszące dyskusji.

- Ale w takiej sytuacji mogliby skorzystać kontaktując się z nami bezpośrednio...

- Tego nie potrafię wytłumaczyć. Nie należy to zresztą do mnie.

Dalszą wymianę zdania ucięło pytanie Astronaoma:

- Co będzie z nami, gdy skończymy się, jeżeli oczywiście przyjmiemy podaną tu hipotezę za słuszną, nasza rola eksponentów w muzeum Ich przeszłości?

Na ten temat nikt nie zabrązał głosu.


Przed zapadnięciem zmierzchu ostatni „tu- tryści” oddalieli i zostaliśmy znowu sami na kosmodromie. Nie oznaczało to jednak zmiany naszej sytuacji. Większość z nas myślała już o niespodziankach dnia następnego, bo tego, że wydarzy się coś nieoczekiwewanego, byliśmy więcej niż pewni.

Było już bardzo później, gdy zebrałmy się wszyscy na polecenie Komandora. Do najlepszych tradycji wypraw załogowych należy zbiorowe podejmowanie ważnych decyzji, z wyjątkiem sytuacji zagrożenia, kiedy pełna władzy bez obowiązku konsultacji spoczywa w rękach Komandora. Czasami bywa to jednak tradycja uciążliwa, gdy spotkają się ze sobą jednostki ambitne dążące do przeformowania na wszelką cenę własnego zdania. O tym, jak trudno jest osiągnąć jednomyślność we wszystkim, co dotyczy poznania Kosmosu, wiedzą dobrze wszyscy, którzy choć raz brali udział w wyprawie badawczej. Wszystko, co nie dotyczy podstawowych spraw technicznych, które pozostawia się najczęściej Piłotowi, jest przedmiotem interpretacji, ścierania się różnych stanowisk, nie kończących się dyskusji. Tym razem jedność poglądów w sprawie zasadniczej narzucała sytuacja. Wszyscy byli zdania, że istniejącego stanu rzeczy nie można dłużej tolerować i że skoro zawiodły wszystkie nasze wysiłki zmierzające do nawiązania kontaktu, należy dążyć do radykalnych rozstrzygnięć. To znaczy wystartować.

Spór rozgorzał dopiero wtedy, gdy zajarzyło się dalszymi losami wyprawy. Nie zrealizowaliśmy wprawdzie wszystkich wyznaczonych na ten lot zadań, ale to, co się wydarzyło, dostatecznie uzasadniało natychmiastowy powrót do Bazy. Niektórzy proponowali jednak, by pozostać przez czas jakiś na orbicie i usiłować dowiedzieć się czegoś więcej o niegościnnej cywilizacji, inni wspominali o możliwości zba-
działań innych planet tego układu, jeszcze inni proponowali cele zastępcze, leżące w tym samym rejonie Kosmosu. Większość była zdania, że przy naszym wyposażeniu technicznym i poziomie wiedzy jesteśmy do tego stopnia bezradni, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest natychmiastowy powrót.

Po długiej debacie zwolennicy natychmiastowego powrotu przeforsowali swój pogląd, chociaż przypuszczam, że poszło im to tym łatwiej, że część oponentów obstawała przy swoim tylko dla zasady, a właściwie dla ocaleńia resztek honoru, mocno nadszarpiętego przez ignorującego nas przeciwnika.


Podział czynności w takich sytuacjach przewidywał dla mnie kontrolę układu napędowego i systemów sterujących. Zabrało mi to sporo czasu, ale chciałem być absolutnie pewien, że przynajmniej z tej strony nie grozi mi żadna niespodzianka. Była już noc, kiedy, siedząc samotnie w kabinie sterowniczce, obmyślałem ostatnie szczegóły jutrzniejszego startu. Zdawałem sobie sprawę, że działania powinny być najprostsze z możliwych, bowiem szczegółowe przewidywania zamierzające uprzedzić konkretną sytuację, przy tej ilości niewiadomych, z jaką miałem do czynienia, nie miały najmniejszego sensu. Pierwotnie zamierzałem doczekać momentu startu, ale zmęczenie zwyciężyło i poszedłem spać tuż przed świtem.


Zwyczajna procedura przygotowania startu, ostatnie sprawdziany poszczególnych układów, sygnał gotowości dla załogi, a potem już tylko sekundy wyczekiwania przed najważniejszym, decydującym gestem...


Zespół startowy był raczej niezwykły. Obok mnie siedział Komandor zajmujący fotel niepotrzebnego w tej chwili Navigatora. W trzecim fotelu usadowił się Fizyk obserwujący specjalnie przygotowaną aparaturę do rejestracji danych o polu silowym. Oczywiście, przy prędkości rozwijanej przez rakietę i wielkości „pęcherza”, w którym byliśmy uwieńczeni, nie
miało to większego znaczenia, poza zaspokojeniem czysto naukowej ciekawości. Na ekranach pokazujących otoczenie rakiety – pusto, może zbyt wcześniej, by pojawiły się „turyści”, a może Oni wykonywali na dzisiaj nową niepodziemkę. W tej chwili nie miało to już znaczenia.

Ostatek optymizmu podsycał jednak nadzieję, że w razie gdyby zapora nie ustąpiła, zdążyę wyłączyć silniki w czasie dostatecznie krótkim, by gromadzące się gazy nie zdążyły zniszczyć rakiety. O wypadku, gdyby się to nie udało, starałem się nie myśleć, choć w wyobraźni podpowiadała pieklienne obrazy powstałe z nałożenia się moich teoretycznych przewidywań i zapamiętanych widoków dwóch katastrof, jakich przed laty byłem świadkiem.

– Gotowi?
Zamiast odpowiedzi bezgłośnie kiwnęło głową.


Wtedy oczy miałem zamknięte. Nie dlatego, żebym nie chciał widzieć tego, co się stanie, ani ze strachu, ani nawet dlatego, że rozkład przyrządów znałem na pamięć. Po prostu dla większej koncentracji. Postawiłem wszystko na instynkt pilota, który ratował mnie już niejednokrotnie z opresji. Droga od wskaźników przyrządów pomiarowych do mózgu i od decyzji do wcielenia jej w bieg spraw była w tej sytuacji stanowczo zbyt długa, bym miał się nią posłużyć.

Dźwignia do siebie! Tym razem mocno, od razu na pełny ciąg startowy. Czas przestaje istnieć. Jest tylko potwornie spiętrowane napięcie i oczekiwanie…


Zerknąłem w prawo, nie gubiąc z pola widzenia ekranu: Fizyk gapił się osłupiały na wskazaniu swoich przyrządów. To, co się działo, przeczyło jego wiedzy, a być może przekraczało i jego wyobraźnię. Rzut oka w lewo: Komandor zapatrzył w iluminator, jakby w oczekiwaniu na oślepiający błysk eksplozji. Tymczasem rakieta wznowiła się bez przeszkód. Coraz prędkiej i prędżej…

Półmrok poranka, który żegnał nas na powierzchni, ustąpił miejsca jasności, a ta po pewnym czasie znowu zmieniła się w mrok, ale już inny, atmosferowy mrok Kosmosu. Przelatywaliśmy przez coraz rzadsze warstwy atmosfery. Wreszcie silniki ostatnim impulsem wprowadziły statek na orbitę i automatycznie wyłączyły się. Zajęty obserwowaniem ich pracy przeoczyłem chwilę, gdy zniknęło otaczające nas dotychczas pole siłowe. Byliśmy na orbicie wyższej o kilkadziesiąt kilometrów od zaplanowanej (zastanawiając się później nad tym doszłem do wniosku, że był to dodatkowy efekt rozprężających się za nami w tunelu gazów). Ale przede wszystkim byliśmy wolni!

Żywiołowa radość, jaka zapanowała na statku, przeszła wszelkie wyobrażenia. Dorosłości przecie i poważni ludzie, w większości z tytułami naukowymi, uchodzący za wybitnych specjalistów w swoich dziedzinach i mający za sobą duże doświadczenie w badaniu Kosmosu, zachowywali się niepoważnie: śmiali się, biegali po wszystkich pomieszczeniach, poklepywali napotkanych kolegów po ramionach. Tak
przejawiało się odprężenie po dniach spędzo-
ych na planecie w ustawicznej niepewności.
Prędzej czy później wszyscy trafiali do kabin-
erycznej i gratulowali mi udanego startu, jak gdyby był on moją zasługą. Ponieważ
natychmiast mieliśmy opuścić orbitę planety, swoje miejsce zajął Nawigator. Tymczasem
Fizyk, który demontował swoją aparatwę
i zbierał taśmy z wynikami obserwacji, ode-
zwał się znienacka:

— Fakt, że pozwolono nam odlecieć, zmu-
sza do rewizji dotychczasowych hipotez. Zre-
szta wszystkie one mają jeden podstawowy
brak: są zbyt nieśmiałe w stosunku do tego, co
nas spotkało. Są zbyt ziemskie, zbyt antropo-
morfizujące. Są to w gruncie rzeczy różne
wersje naszych własnych, przewidywanych re-
akcji na wizytę z Kosmosu. Tymczasem taki
sposób reagowania, z jakim się spotkaliśmy,
może mieć bardziej podstawową przyczynę:
odmienność materialną, fizykalną. Jest jeden
możliwy przypadek, który tłumaczyłby za-
równo absolutny charakter naszej izolacji, jak
czas jej trwania ograniczony do kontaktu z ma-
terią układu planetarnego i niezrozumiałe rea-
kacje mieszkańców planety... Odwiedzona
przez nas planeta, a może i cały układ planetar-
ny mogą być zbudowane z antymateria.

Nielicznym słuchaczem w kabinie stereow-
niczej ciarki zamroziły po płećach.

— Nie mogliśmy się przekonać o tym na
odległość, ponieważ pozostające w stanie izola-
acji materia i antymateria są nieodróżnialne.
A z chwilą, gdy kontakt stał się możliwy, na
przykład przez spotkanie z meteorem czy wej-
ście w górne warstwy atmosfery, znaużowaliś-
my się już w ochronnym płaszczu wytworzo-
nego przez nich pola siłowego. Mieszkańcy
planety nie spotkali się z nami, bo nie mogli
tego uczynić pod groźbą unicestwienia w pro-
cesie anihilacji nas, naszego statku i znacznego
obszaru Ich planety. Tak więc reakcja, która
zaskoczyła nas najbardziej, nie była wynikiem
wyboru określonej strategii postępowania, jak
sugerowali autorzy poprzednich hipotez, lecz
tragiczną w swej wymowie koniecznością.

Hipoteza Fizyka, którą miałem możność
poznać jako jeden z pierwszych, wywołała
duży odzew wśród członków załogi. Kiedy
bowiem opadły emocje radości związanej z po-
mysłnym startem i statek, przybierając kurs
powrotny, przywiązał do prędkości podróż-
nej, dyskusje ożyły ze zdwojoną siłą. Utworzy-
ły się obozy zwolenników tej i innych hipotez.
Trwały nie tylko dyskusje oficjalne, ale i bez-
ustanne zakulisowe przerzuty, mające na celu
przeciagnięcie na swoją stronę największych
autorytetów.

Wobec niewielkiej ilości konkretnych i wobec
faktu, że to, co się stało, nie bardzo mieściło się
w dotychczasowych ziemskich wyobrażeniach
o kontaktach z innymi cywilizacjami, dyskusje
szybko jałowiały, coraz bardziej zwiększał się
w nich udział pseudonaukowych, fantazyj-
nych wymysłów. Nad interpretacją faktów
zaczęła przeważać logika wywodu, zalety sa-
mej konstrukcji intelektualnej. I z tego zaułka
nie było już wyjścia.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia i gdy
myślalem, że tak będzie przez długie miesiące
lotu, aż do naszego powrotu do Bazy, a tam
także nie zaznali spokoju, ciągną przed róż-
ne komisje dla złożenia zeznań...

Dlatego tu jestem. Wydaje mi się, że znam
sposób rozstrzygnięcie tych sporów, a przynaj-
mniej, że jest to jakaś szansa. Skończyłem
właśnie programowanie nowego wariantu tra-
sy lotu. Do jutrzeniowego poranka istnieje jeszcze
szansa zawarcia statku z powrotem ku zagadkowej planecie. Zajęci dyskusjami naukowymi nie powinni zauważyć zmian w kierunku działania przeciążeń. Dlach będzie to w dalszym ciągu rezultat wprowadzania statku na tor lotu powrotnego na Ziemię. Kiedy się spostrzega...

Mimo że nie jestem specjalistą od progra-
mowania komputerów, mam nadzieję, że za-
biegi mi się udał i po kilku dniach lotu wejdzie-
my znowu na orbity planety. Skoro jedna
wizyta nie przyniosła rozstrzygnięcia, powin-
niśmy spróbować po raz drugi. Nie potrafię
przewidzieć, co się stanie, czuję jednak, wierzę
w to, że zamieszkałą tę planetę cywilizacja, jakakolwiek by ona była, skoro przyjęła nas,
gdy chcieliśmy lądować, i nie przeszkodziła
w odlocie, gdy chcieliśmy odlecieć, zasługuje
na tyle zaufania z naszej strony, byśmy mogli
donownie zakłócić jej samotność.